

Przez zasiedzenie

Kirchstetten (Auden) i *Marlewo* (Sośnicki) –
wiersze o afekcie do miejsca

Jerzy Borowczyk

Jakie skojarzenia można mieć z dwoma miejscami – piwnicą i strychem? Do postawienia sobie tego pytania skłoniły mnie dwa wiersze Audena – *Na dole* oraz *Na górze* – z wydanego przez Biuro Literackie tomu/cyклу *W podziękowaniu za siedlisko*. Całość przełożył Dariusz Sośnicki i ta okoliczność spowodowała, że wraz z Michałem Larkiem wybraliśmy się pewnego październikowego poniedziałku na południowy skraj Poznania – na osiedle w ramach szacownej dzielnicy Starołęka.

W *Postscriptum I* do tomu angielskiego poety tłumacz zanotował: „Na początku lat 90. ubiegłego wieku mieszkałem przez kilka lat w małym, wynajętym domu na obrzeżach miasta. [...] Nie znałem wtedy Audenowskiego habitatu; przekonanie, że ludzka siedziba jest warta dłuższej sekwencji wierszy, było dla mnie czymś oczywistym i nie wymagało potwierdzenia w jakichkolwiek lekturach. W ten sposób powstało moje debiutanckie *Marlewo*”. W innych urywkach swojego komentarza-epilogu Sośnicki dyskretnie opisuje sposób, w jaki dojrzały już Auden osiedlił się na austriackiej prowincji po życiu wręcz sławnym z tułaczki.

Pomysł, by odwiedzić osiedle (a wcześniej podpoznańską wioskę) Marlewo, zaświtał nam jednak znacznie wcześniej, gdy podczas piw i kaw z Sośnickim w knajpce na poznańskim Łazarzu albo w okolicach ulicy Fredry rozmawialiśmy o bieżących sprawach, a autor jedynie napomykał, że przekłada Anglika i na temat Marlewa nawet się nie zająknął. Gdy się z nim podzieliliśmy pomy-

słem wyprawy nad Rów Marlewski i w okolice krzesińskiego lotniska i zaczęliśmy go namawiać do wspólnej eskapady, początkowo był chętny. Później – już po opublikowaniu przekładu Audena – prosił, byśmy udali się tam sami. Gdy wysiedliśmy z auta na jednej z szutrowo-bitych ulic Marlewa i obaj nie bardzo wiedzieliśmy, gdzie iść i po co to w ogóle, okazało się, że wyprawa bez byłego tubylca i poety jest właśnie tym, czego nam trzeba. Wyzwaniem. Mieliśmy kilka godzin, by się poszpendać po niewielkim kwartale. Ledwo nasz marsz się rozkręcał, natrafialiśmy na skraje Marlewa, na których zaczynały się puste płaskie pola, a jeszcze dalej jakby od linijki odkreślone linie horyzontu – z jednej strony poznańskich blokowisk (Rataje), z drugiej krzesińskich lasów, z jeszcze innej – zawijasy Warty. I robiliśmy nawrót, i znów byliśmy pomiędzy starymi, zaniedbanymi domami z ogródkami oraz nowym budownictwem jednorodzinnym. Mało gustownym, ale z rozmachem stawianym. I tylko jedno drewniane domostwo wyróżniało się niedawnym wykończeniem i stylem.

Poeta/myśliciel, ironista i medytujący gorliwiec, domator i gospodarz (chętnie wita gości, ale umówionych), murarz i cieśla – mniej więcej tak zaszeregowalbym mówiącego w cyklu/poemacie Audena. W przywołanym już wierszu *Na dole* tak mówi o piwnicy, o tym podłożu domu:

Dar niebios, gdy nadszedł Wielki Chłód: to ona zbudziła w nas afekt
Do miejsca, które istnieje po to, by do niego wracać –
Jama, która przez zasiedzenie nasiąka ludzką wonią.

Żadnych więc sentymentów, przytulnych pokoików, ciepłych wspomnień o dziadkach i rodzicach. Siedlisko, habitat, to tylko (i aż) jama, która nasiąka naszą wonią – duchową i cielesną. Coś poza wolą i refleksją. Odczynnik człowieka. Mechanizm miejsca działa poza sferą naszego wyboru – chwyta nas w pułapkę afektu. Tak rodzą się przymus i nawyk. Już nierozłączne. Dół domu pozostaje osobny. Nie spieszo mu do relacji z pozostałymi poziomami obiektu. Najlepiej piwnicę zna ten, dla kogo była/jest przestrzenią próby, wyzwania (o którym już tu pisałem):

Nie jest dla dziewczynek: czasami Ojciec, by ich poddać próbie,
Zsyła tam młodszych chłopców po jakieś rzeczy dla Matki:
Z bijącym sercem, w napięciu, mierzą się z wilgotnymi
Schodami, by jak najszybciej obwieścić na górze zwycięstwo.

Ma swą urodę ten narracyjny odprysk zbioru Audena, który jest jednak dość gęstą od znaczeń i kontekstów całością. Jeśli kolejne odczytania są ścieraniem warstw, to jedną z odkrywanych powierzchni są właśnie odpryski narracji o samotnym chłopcu. On wyłania się również w przywołanym utworze *Na górze*, sąsiadującym z dopiero co cytowanym. Oto, czym staje się strych: +

Całą wiedzę o świecie, który wciąż się zmienia,
 Czerpie od dzieci schodzących się tu na czary:
 Raz jest chatą na skale dla dwóch przejętych siostr,
 [...] Raz szkunerem, na którym w pojedynkę jednak
 Żeglujecie na północ albo do koralowych wysp.

Podłoże i szczyt domu jako miejsca ciemnych wtajemniczeń, czegoś, do czego dorosły nie zawsze chce się przyznać albo czego po prostu nie pamięta. Nade wszystko jednak obie te strefy siedliska uzyskują u Audena niezawisłość, odrębność. Mieszkaniec – nieważne: młodszy czy starszy – nie jest im do niczego potrzebny. Te pomieszczenia domu na zawsze pozostają oddzielone i niezbadane.

Ostatnią uwagę można rozwinąć i odnieść do dwóch jeszcze kwestii: do naszej październikowej wyprawy oraz do innych ogniw tomu Audena. Marlewo bowiem pozostało nietknięte. Przemierzanie uliczek, wpatrywanie się w domostwa, wizyta w sklepie (z mydłem i powidłem; właśnie wpadł tu na małe zakupy marlewski listonosz, który miał mało atrakcyjny dzień – nie roznosił bowiem rent i emerytur, ale faktury wystawione przez różne, wszystkim nam dobrze znane, złodziejskie elektrownie, gazownie i inne takie), chowanie się przed przypadkowo ujrzanym w oddali kumplem (wolałem tego dnia z nim nie rozmawiać) – wszystko to kończyło się na polach albo na brzegu świeżo zmeliorowanego Rowu Marlewskiego. Trzeba było robić w tył zwrot i iść wzdłuż tych samych płotów. Za jednym z nich zagadnąc staruszkę o fioletowym nosie i ewidentnie wschodnim zaśpiewie. Okazał się Jeremiaszem z Marlewa, opłakującym zburzenie swej kochanej dzielnicy przez krzezińsko-natowskie F-16 (efy szesnaste), ujadające cały dzień nad dachami tutejszych domów. Akurat w ten poniedziałek piloci nie oblatywali, więc prorok-płaczka kołował nerwy pracą w ogródku, a nas karmił opowieściami, z których wynikało, że za sterami tych odrzutowych lewiatanów zasiadają Niemcy, którzy na weekend udają się do heimat. Pewnie opóźnił im się powrót i dlatego niebo tego dnia było spokojne. Niby próbowałem go wyprowadzić z błędu, ale od razu stało się jasne, że moje argumenty są niczym wobec tej spójnej narracji. W końcu jako dzieciak widział Niemców w akcji na Zamojszczyźnie. Tak przynajmniej opowiadał. Tyle miało dla nas Marlewo tego jesiennego, wietrznego dnia. Do niczego więcej nas nie dopuściło. I tak jest w porządku.

Właściciel i mieszkaniec siedliska w książce Audena stara się zachować dystans wobec coraz mu bliższych ścian i wnętrza. Czuje po prostu respekt. Jest – jak sam o tym mówi – po pięćdziesiątce i potrafi dwie rzeczy: docenić (ale nie przecenić) to, co ma, oraz zachować postawę pokornego (nie mylić ze słamszonym i nijakim) domatora, wynoszącego lekcję życia z kolejnych pomieszczeń. Daleko bowiem do przeceniania komuś, kto doskonale wie, że obecny habitat

ma na jakiś czas: „Żaden świat / nie jest wystarczająco trwały, ale śmiertelny czy nie, / jakiś świat trzeba jednak zbudować”. Nieco dalej zwraca się jednak w stronę murarzy i cieśli, którzy wznoszą co prawda „wymyślne schronienia i schowki”, są jednak wolni od urazy wobec śmierci, która architektów (tak jak heretyków) popycha do wznoszenia „drugiej natury ze świątyni albo grobowca”. Tak jak inni jest „podatny na zranienie”, nie powoduje to jednak, że byłoby gotów traktować „zagrodę na własnym łąnie” jak „kołyskę, / magiczny Eden bez zegarów, / [...] grób bez okien”. O nie! On ma po prostu „miejsce, którego granicę / przekraczać może w dwie strony”. Bez wiz i rewizji pograniczników, celników, cerberów, przewoźników, Charonów.

Ostatnie cztery ogniwa *W podziękowaniu za siedlisko* rozbrzmiewają kolejno w pokoju gościnnym (*Tylko dla przyjaciół*), w pokoju reprezentacyjnym/salonie (*Wieczorem o siódmej trzydzięci*), sypialni (*Jaskinia nagości*) oraz w pokoju dziennym (*Wspólne życie*). Uznają je za niezwykle wyrafinowane, a zarazem pełne rewerencji dla życiowych komplikacji i dotkliwości wypowiedzi na temat ludzkich relacji. Niezbędność przyjaciół, znajomych, kochanków, sąsiadów. Brak złudzeń co do ich nieskalaności, ale zarazem co do własnej wierności tym drugim, z każdego wymienionego poziomu międzyludzkich relacji. Okazuje się bowiem, że „W języku przyjaźni pierwsze kroki są proste, / Ale, jak się szybko okazuje, / Trudno mówić nim biegle // [...] szybko rdzewieje”. Nie należy pokładać nadmiernych nadziei w przygodnych znajomych, w co jakiś czas goszczonym na kolacji koleżeństwie: „największą serdeczność znajdziesz pośród ludzi, / co znają szarady życia, tacy nie będą ludźmi, / że troska może pocieszyć, lecz wierzą, że śmiech / mniej jest bezduszny od łez”. Nie mądrzy się właściciel siedliska z Kirchstetten i cieśla składający dziękczynienie za tę zagrodę. Przyznaje w części poświęconej sypialni, że nic mu nie wiadomo o „nocnych seminariach starych dobrych małżeństw”, i nic nie wskazuje na to, by ta fraza skrzyła ironią. Nie porywa się na marnotrawny i źle zaplanowany heroizm, dlatego postuluje, by każdy dom był jak forteca, pozwalająca „trzymać Naturę na dystans”.

Żadnej więc utopii domu ani sielskiej konwencji domowego ogniska, natomiast jak najwięcej profesjonalizmu i skupienia. Do niego zaprasza najbardziej chyba energiczny i postulatyczny kawałek tomu Audena – *Jaskinia wytwórczości*. Podobnie jak piwnica uznana zostaje za jamę. Najintymniejszą. Prześciga nawet sypialnię. Wystrój zminimalizowany. Odcięcie zarówno od domowych pieleszy i zapachów (schody – gabinet schowany jest na piętrze), jak i od „bujania w obłokach”. Bo „tutaj ciszę / przerabia się w rzeczy”. Ciszę więc trzeba zasiedlić tak samo jak jamę. Napełnić własnym zapachem i uczynić miejscem, do którego chce się / musi się wracać. Z tego powstaje afekt do słów, a poezja bywa siedliskiem.